

Jestem w Niebie

Krzysztof Cyraski



KRZYSZTOF CYRASKI

*Jestem
w
Niebie*

2011 – 2012

© Copyright by
Krzysztof Cyraski & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo

ISBN e-book 978-83-7859-240-2
ISBN druk 978-83-7859-241-9

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Rozdział I

Zamach

– Bz, bz, bz, bz – ostry dźwięk budzika zerwał mnie na równe nogi.

Wiedziałem, że po zakrapianym wieczorze mogę zaspać, dlatego wyczulony byłem na sygnał pobudki. Zawsze tak było jak poprzedniego dnia pozwoliłem sobie na chwilę zapomnienia. Nie zdarzało się to często, ale raz na dwa, trzy miesiące przyjaciele przypominali o swoim istnieniu i wszyscy spotykaliśmy się w którymś z pubów. Cóż zrobić, nie można się wyłamywać. Scenariusz podobny był za każdym razem. Ktoś niespodziewanie, całkowicie spontanicznie dawał sygnał do spotkania przy piwie, kończyliśmy przeważnie po kilku drinkach. Osoby, które spoza naszej paczki nieraz uczestniczyły w tych spotkaniach uważały, że jest to, zdaniem jednych dziwne, a zdaniem innych, urocza tradycja.

Faktycznie było to trochę dziwne, tym bardziej, że oprócz tych całkowicie nieplanowanych spotkań, odbywa-

ły się również i te z góry zapowiedziane. Zasada była taka, wcześniej zaplanowane przyjęcia odbywały się w soboty, przeważnie w domach lub na działkach, a nieplanowane w każdym możliwym dniu tygodnia, oprócz sobót i niedziel, w jednej z naszych ulubionych knajpek.

Wyjaśniłem już zależność między prowadzonym przeze mnie stylem życia, a trudami dzisiejszego poranka, w związku z czym czas na codzienne poranne czynności i wyjazd do pracy.

– A właśnie wyjazd, czy...? – Tu sięgnąłem do szuflady z jednorazowymi alkotesterami.

Wydech i... przepustka do garażu została zabrana.

– Cholera – mruknąłem pod nosem. – Kiedyś po takiej ilości nic nie wykazywało, chyba się starzeję. A może to nie wiek? Ile ja właściwie wczoraj wypilem? – Ktoś zapewne to wiedział, ale nie ja.

Powrót do domu też pamiętałem mniej więcej z większym naciskiem na to pierwsze.

Po porannej toalecie i śniadaniu składającym się z kefiru i jeszcze jednego kefiru, zamówiłem taksówkę i wyszedłem z mieszkania. Po kilkunastu minutach oczekiwania postanowiłem zrezygnować ze spóźniającego się środka transportu i iść do pracy pieszo, co nieraz czyniłem z przyjemności, a nie konieczności. Postanowiłem i tym razem przespacerować się korzystając z ostatnich tak stosunkowo

ciepłych i pogodnych dni przed zbliżającą się zimą. Wolny zawód artysty malarza nie obligował mnie do bezwzględnie punktualnego stawiennictwa w galerii, którą prowadziłem. Obsługa i tak na czas umożliwiała wejście, a uzgodnienia warunków sprzedaży i ewentualne transakcje, co było już wyłącznie moją domeną, nie były prowadzone zaraz po otwarciu galerii. Tak więc nie miałem powodu spieszyć się za wszelką cenę i mogłem sobie pozwolić na niewielkie spóźnienie.

W drodze wracały wspomnienia minionego wieczoru. Jak zwykle było fajnie, ale też jak zwykle, początkowo wygłaszane artystyczne tyrady stopniowo, z każdą kolejką, przeradzały się w coraz bardziej niewybredne komentarze. Nic nowego. Miałem nadzieję, że nie powiedziałem czegoś głupiego Beacie, którą wczoraj podrywałem. Problem w tym, że nie miałem pewności czy wszystko pamiętam. Wydaje mi się, że było OK, ale już raz przeliczyłem się w swoich kalkulacjach. Kiedyś też byłem święcie przekonany o swoim właściwym zachowaniu, do czasu jak dowiedziałem się, że tańcząc z dopiero co poznaną... – Właśnie jak ona miała na imię? – ... Kingą – niesmacznie się do niej kleiłem.

– A jak było wczoraj? – zadałem sobie pytanie. – Nie, nie tańczyliśmy, musiało być dobrze.

Po chwili wątpliwości jednak wróciły.

– A jak nie było?

Pocieszałem się, że lekki moralniak wynikający z dziurawej pamięci, którego jeszcze dzisiaj doświadczałem, jutro już nie będzie odczuwalny.

Wiem, bo przechodziłem to wielokrotnie i pewnie wczorajsza impreza nie będzie ostatnią w moim życiu. Jestem jeszcze przed czterdziestką, w związku z czym perspektywa dalszego bujnego życia towarzyskiego była nader prawdopodobna.

Wcześniej, pewnego rodzaju ogranicznikiem była Laura, ale od dwóch lat kiedy przestaliśmy być razem, jedynym hamulcem stał się zdrowy rozsądek, którego chroniczny deficyt odczuwam po alkoholu. Jestem trochę jak bohater Stevenson'a. Na co dzień Dr Jekyll, a na imprezach Mr Hyde. Ale tylko trochę zaznaczam, a może jeszcze mniej.

Atak jakiegoś fruującego drobiu o mało co nie zakończył się przyozdobieniem mojej głowy odchodami tego czegoś. Uderzenie o chodnik wywołało rozrzut zawartości we wszystkich kierunkach, częściowo również na moje buty. Przynajmniej z grubsza pozbyłem się problemu za pomocą chusteczek i ruszyłem w dalszą drogę.

Dzisiaj miałem potwierdzić przyjęcie zaproszenia na wyjazd sylwestrowy w góry, organizowany przez przyja-

ciół. Z jednej strony byłem już tam tyle razy, że nie stanowiło to specjalnej atrakcji, ale z drugiej chodziło przecież o spotkanie w środowisku, w którym czułem się najlepiej, co samo w sobie było przyjemnością i stanowiło arenę ciekawych przeżyć i dyskusji. I to był główny argument do wyjazdu. Zawsze było fajnie, przyjeżdżały również osoby z poza naszej paczki, a co za tym idzie, można było poznać jakieś interesujące dziewczęta, z którymi u mnie ostatnio krucho. Nie jestem już młodzieńcem i zapewne ten trend dotyczący kłopotów ze znajomością płci odmiennej nie zmieni się na korzyść, dlatego zdecydowałem, że skorzystam z zaproszenia.

Wspomnienia cofnęły mnie do ostatniego pobytu w górach.

– Ile to czasu minęło? – zastanawiałem się. – Dwa lata i dwa miesiące. Szybko ten czas leci.

Ostatni raz byłem w górskiej baczni Marka jeszcze z Laurą. Byliśmy wtedy parą od półtora roku i wszyscy byli przekonani, że niechybnie skończymy przed ołtarzem. Zresztą, sam miałem podobny pogląd, choć jak teraz sobie przypominam swoje spostrzeżenia i przemyślenia, właśnie podczas ostatniego pobytu w górach ogarnął mnie pewien niepokój dotyczący wiązania się z Laurą na stałe. Dotychczasowa harmonia naszego związku została zakłócona. Nigdy wcześniej Laura nie okazywała w tak widocz-

ny sposób swojego przywiązania do luksusu i wartości materialnych. Jej stałe narzekanie i fochy na warunki pobytu, ale także nadmierne zainteresowanie pewnym mocno nadzianym osobnikiem, który zawitał do baczówki jako osoba towarzysząca kuzynce Marka, Marcie, irytowało mnie i zmusiło do przemyśleń nt. naszego dalszego związku. Nigdy wcześniej nie zdarzało jej się takie zachowanie, nigdy tak dobitnie nie manifestowała odmienności stylu bycia i upodobań. Wręcz odwrotnie, wydawało mi się, że mamy podobne zainteresowania i w podobny sposób lubimy spędzać wolne chwile.

– Dobrze określenie, wydawało mi się – pomyślałem.

Na każdym kroku zaznaczała swoją odmiennosc. Kiedy z całą paczka wybieraliśmy się na wycieczkę w góry, Laura opalała się na basenie pobliskiego hotelu, kiedy do późnej nocy wszyscy bawili się przy ognisku, Laura na siłę organizowała mi atrakcje w położonym kilkaset metrów od naszej baczówki miasteczku, tak jakby chciała mnie oddzielić od przyjaciół. To co nas bawiło, np. jak Paweł beztrako wszedł na szczyt w klapkach kąpielowych czym wszystkich rozbawił, ona uznała za pożałowania godną oznakę głupoty. Coraz częściej nadawaliśmy wtedy na odmiennych falach. Pamiętam, że nawet kilkukrotnie pokłóciliśmy się o to. Niedługo po powrocie z gór nie wytrzymałem i wypomniałem jej beznadziejne zachowanie. Na nic więcej nie

było mnie stać, kochałem ją i nie chciałem się z nią rozstać. Laura była silniejsza i to ona zakończyła nasz związek. Mówię, że była silniejsza, ale tak naprawdę chyba była bardziej zakochana w sobie niż we mnie. Dotknęło mnie to dość głęboko, ale wszystko na co mogłem się zdobyć, to udawanie, że jest inaczej. Laura w końcu została żoną, niestety nie moją, a pewnego biznesmena z branży budowlanej. Po pewnym czasie, choć nie powiem że krótkim, zacząłem ponownie uchodzić za wesołego, beztróskiego młodzieńca w średnim wieku, poszukującego wybranki serca.

– Może coś ciekawego się wydarzy? – bąknąłem do siebie, mając na myśli ewentualną możliwość poznania jakiś dziewcząt, choć w moim wieku należałoby pewnie powiedzieć pań.

Coraz bardziej zaczynałem cieszyć się z możliwości wyjazdu. Ostatnio nie miałem zbyt dużo wolnego czasu. W okresie wakacji tylko jeden weekend poświęciłem na wypoczynek nad morzem, dlatego tydzień urlopu w górach był dobrym pomysłem.

– Jeżeli jadę, to muszę kupić buty do chodzenia po górach – starałem się zaplanować konieczny zakup w porze lunchu. – Czy coś jeszcze? Chyba wszystko – odpowiedziałem sam sobie.

Słuchałem wynurzeń tych dewiantów nie mogąc uwierzyć w to co słyszałem. Chore umysły bandytów generowały kolejne makabryczne szczegóły, a ja zacząłem się zastanawiać nad tym, czy ich dusze po śmierci mają również przekroczyć bramy Raju i budować z innymi harmonię nowego bytu?

– Jak tacy zwyrodnialcy mieliby nawiązywać łączność z Obcymi? Przecież, jeżeli ci Obcy dowiedzieliby się co na ziemi wyprawiała spółdzielnia Kappy, to by im się odechciało nawiązywać z nami jakiegokolwiek kontakty, choćby w obawie, aby i ich organami się nie zajęli.

Wzburzenie odbierało zdolność logicznego myślenia. Wiedziałem, że coś przesadzam z tymi Obcymi, ale zakładając, że taka sytuacja rzeczywiście miałyby miejsce, to nie wiem czy nie zmieniliby opinii o nas. Głos rozsądku z wnętrza podpowiadał, że dobro i zło jest prawdopodobnie domeną nie tylko naszego gatunku, ale wszystkich myślących istot, które mają możliwość wyboru tego co zrobią, dlatego pewnie słusznie odczytano by, że Kappa i jego kompanii, i im podobni są jedynie bolesną skazą na ciele ludzkości.

Wróciłem myślami do postawionego na początku pytania, czy dusze takich przestępców jak Kappy i całego tego towarzystwa, wejdą do Raju tak samo, jak dusze innych, normalnych ludzi?

– Przecież to chore. Jeżeli i Niebo im odpuści to gdzie